

LUDZIE POTRAFIĄ LATAĆ

Agnieszka Lingas-Łoniewska

Małgorzata Warda

Alicja Sinicka

Magdalena Knedler

Anna Szafrńska

Anna Kasiuk

Jolanta Kosowska

Daniel Koziarski

Daniel Radziejewski

Rafał Cichowski



NOVAE RES

R a f a ł
C i c h o w s k i



LUDZIE
POTRAFIĄ LATAĆ



Zanim stanął przed klasą wypełnioną spojrzeniami, zanim usłyszał swoje nazwisko wywołane do tablicy – czarnej jak noc, wciąż mokrej, wysychającej w długich poziomych pociągnięciach, bielejącej na krawędziach – zdążył jeszcze dorysować ostatnią linię zamykającą oko. Do kogo należało? Tego nie wiedział. Póki co wisiało wyrwane z kontekstu w przestrzeni pomiędzy liniami zeszytu do polaka, zupełnie tak jak on wisiał teraz naprzeciw rzędów znajomych twarzy. Majowe słońce było jasnym strumieniem pomiędzy blokami, frunęło nad ulicą i waliło prosto w okno, przedzierając się z trudem przez zasieki żaluzji, firanek, na wpół żywych kwiatów i brudu oblepiającego szyby z obu stron. Świetlista krawędź, jak linia wykrojona nożem, przecinała drewnianą posadzkę sali numer 17, oddzielając strefę mroku od sceny, na której stał w pełnym blasku i chwale. Wyrównał czubki zdeptanych tramppek do tej linii, bo lubił, gdy wszystko było na swoim miejscu. Poczuł się jak przed skokiem do wody. Wziął głęboki oddech i zaciągnął się zapachem klasy po brzegi płuc. Pachniała kurzem, mokrą kredą i potem. Dwie godziny wuefu od rana, dziewczyny walczyły z kozłem, chłopcy kręcili kółka na czas wokół boiska, czterysta długich metrów w sztafecie, indywidualnie, do porzygu. Niektórzy wciąż nie ostygli. Skronie lśniły, czerwone twarze wpatrywały się w niego z coraz większym zdumieniem. On po raz ostatni podniósł wzrok, poszukując natchnienia w dorzeczu spękanej farby rozlewającej się coraz

śmielej po suficie, a następnie zaczął czytać spomiędzy kompletnie pustych kartek:

– Gry komputerowe... eeee... to są najgorsze, bo zabierają nam cały wolny czas. No i siedzimy z głowami w tych monitorach i dostajemy garba, a na dworze można robić tyle ciekawych rzeczy. Na przykład pójść do kolegi albo do parku. Spotkać się z kimś normalnie i porozmawiać w cztery oczy. Używać pełnych zdań, bo na czacie to tylko skróty, takie jak thx, brb czy wtf. Bo młodzi ludzie lubią upraszczać i chcą wszystko szybko. Nie lubą czekać na cokolwiek, a najbardziej na odpowiedź. Najgorzej jak pojawia się ta chmurka, że ktoś coś pisze i zaraz znika. I znowu się pojawia i tak w kółko. No to do szału doprowadza. Jeszcze gorzej niż wiadomość wyświetlona trzy godziny temu i brak komentarza. Co ja mam dwa razy pisać to samo? Przecież dotarło, to odpisz. – Wziął oddech, bo się zasapał. Czuł się jak podczas pierwszej jazdy na rowerze, próbując utrzymać równowagę na chyboczących się słowach wypadających z głowy jedno po drugim. Zakręcił językiem ponownie. – Mam takiego kolegę, który spędził tysiąc godzin online, wbijając level, to znaczy grając przez internet. Tysiąc godzin. Jak sobie człowiek o tym pomyśli, to przecież tyle pożytecznych rzeczy można w tym samym czasie zrobić... Świat zwiedzić, nauczyć się obcego języka, nawet w pokoju posprzątać. Tylko że jak się jest młodym, to zawsze się idzie na łatwiznę. Jak w tej bajce, co dziewczyna przeszła na drugą stronę lustra, my też uciekamy na drugą stronę monitora, do niezwykłego świata, bo tu przeważnie nic się nie dzieje albo dzieje się coś nefajnego, o czym nie chcielibyśmy myśleć. – Z tego ostatniego zdania był szczególnie dumny, bo nie dość, że udało mu się wcisnąć literackie nawiązanie w swój bełkot, to jeszcze poczuł, że dotknął jakiegoś ważnego

problemu. – Powinno się o tym rozmawiać – dodał z powagą, pewien swego.

Pani Halina Kosińska-Grudzińska, zwana Kosą, zwana Grudą, zwana tą-która-potrafi-liczyć-tylko-do-dwóch, bo pała i dopuszczająca były jej ulubionymi ocenami, kobieta o tysiącu przezwisk i jednym kamiennym obliczu zdawała się nie podzielać jego entuzjazmu. Długopis zawirował ponad rubryką ocen, ale zamiast wykonać charakterystyczny wznosząco-opadający ruch jedynie dziabnął w papier, pozostawiając na nim błękitną kropkę.

– Maćku, zostań, proszę, po zajęciach – powiedziała z dziwną czułością w głosie, zanim wygoniła go wzrokiem do ostatniej ławki.

Przez resztę lekcji wysłuchał osiemnastu wersji wydażeń, które w przepływie inspiracji napisał dla niego Bednar. W niektórych wykorzystywano rekwizyty, takie jak reklamówka foliowa i palnik acetylenowo-tlenowy, w innych tryskała bita śmietana i trzaskały futrzane kajdanki. Kolejne wyszeptane, okraszone stłumionym śmiechem rewelacje płynęły do jego ucha i wypadały drugim, gdy z całych sił próbował skupić swoją uwagę na lirykach lozańskich i nie rąbnąć się, notując słowo paralelizm. Na dwadzieścia minut przed dzwonkiem Kudłaty nie wytrzymał i odrobinę za głośno zakwestionował jakość powietrza w klasie, za co natychmiast został wywalony za drzwi. Maszerował zgarbiony wzdłuż ściany udekorowanej portretami wieszczów, żegnany salwą śmiechu, która zgasła tak samo szybko jak wybuchła. Do końca lekcji już nic więcej się nie wydarzyło. Okna pozostały zamknięte.

– Maciek, ty nie zdasz – powiedziała Kosa, gdy już zostali sami po dzwonku.

Harmider na korytarzu narastał, przebijał się przez drzwi głuchym dudnieniem. Z radiowęzła popłynęła muzyka, dziewczyny znowu katowały Twenty One Pilots. Jak on kochał ten utwór w tym momencie. Kojarzył mu się z ubiegłym latem, smakiem pierwszego piwa i ust Agnieszki z II C. Chciał być tam, nie tu. Skakać przez ognisko i śpiewać do zdarcia gardła.

– Wolałbym zdać, sorko – odpowiedział, nie odrywając wzroku od podeptanych trampek.

Zauważył, że linia światła przesunęła się w stronę tablicy i powoli wspinała po ścianie w kierunku kredowych hieroglifów. Wywołany do odpowiedzi mógłby teraz schować się w cieniu, ale nawet wtedy nie uciekłby przed lodowatym spojrzeniem Kosy przenikającym go jak fale rentgena. Musiała widzieć, że w środku był niczym zbita pulpa, pełen dziwnej wdzięczności i wyrzutów sumienia, a zamiast kręgosłupa w pionie utrzymywał go jedynie strach.

– Za miesiąc będę wystawiać oceny, a ty masz pięć niedostatecznych i dwie tróje. Trochę za mało, żeby myśleć o promocji. Ja naprawdę sądziłam, że dasz sobie radę z najprostszą rozprawką, ale twój dzisiejszy popis... – Zawiesiła głos. Nie musiała nic więcej mówić.

– Poprawię się – obiecał.

– Oby przed czerwcem – odpowiedziała, zamykając dziennik.

Zdążył na ostatni refren. Obudź się i zarabiaj kasę, zaśpiewał razem z Tylerem, skręcając w łącznik. Gdy dotarł do stołówki, chłopaki siedzieli już głęboko w temacie, cytując lepsze fragmenty jego wypowiedzi, dopisując na kolanie teorie.

– To była dopiero wielka improwizacja – skwitował Bednar, gdy tylko dostrzegł go z daleka. Reszta odłożyła kanapki i zaczęła klaskać. – Poleciałeś fristajlem.

– MC Maciejka, nowa nadzieja polskiego rapu.

Puścił mimo uszu docinki, opadł ciężko na krzesło i zamarł na nim z wyrazem absolutnego zblazowania na twarzy. Chciał jak najszybciej przewinąć i zapomnieć ten dzień. Tak samo jak poprzedni wieczór. Całą tę paradę nieszczęść, która porwała go lawiną, skotłowała i wypłuła na wpół żywego. Ale ból ramion i pleców nie pozwalał mu zapomnieć, że to wszystko wydarzyło się naprawdę. Honda ojca rozkraczyła się jeszcze na parkingu pod Lidlem. Pchali ją przez dwa kilometry w strugach majowej ulewy, zapakowaną po dach spożywką, zgrzewkami wody i topniejącymi mrożonkami. Na początku kłął pod nosem, później już na głos, mokre ręce ślizgały się po lakierze, podeszwy rozjeżdżały na asfalcie. Czuł się jakby brodził przez zastygający beton. Zanim wnieśli ciężkie siaty po schodach na trzecie piętro, zdążył jeszcze spektakularnie się wyłożyć na rozmiękłym trawniku. Było mu wszystko jedno. Zrzucił z siebie zabłocone ubrania, wziął prysznic, zjadł grzanki i padł na łóżko, zasypiając praktycznie w locie. Rozprawka z polaka była ostatnią rzeczą, o której chciał myśleć. Rano wyłączył trzy budziki z rzędu. Przez sen usłyszał skrzypnięcie drzwi. Ojciec wyćwiczonym ruchem zerwał z niego kołdrę i zabrał ją gdzieś ze sobą. Zimno wpełzło pod skórę i trzeba było wstawać.

– Kocham język polski jak Łukasz Podolski – zaintonował, wymachując ręką bez przekonania. – Daj, Kudłaty, łyka! – Wyciągnął dłoń w kierunku szklanki coli i poczuł, jak coś ciężkiego opada na jego ramię.

– No, no, jesteś sławny, chłopie. Tysiąc wyświetleń w dwadzieścia godzin – rozległ się niski głos nad jego głową.

Odwrócił się, by zobaczyć resztę ciała przyczepionego do dłoni wielkiej jak łopata. Rogal stał rozpięty pomiędzy jego ramieniem a Agnieszką, ciągnącą go uparcie w kierunku wyjścia.

Ręce dyndające niczym kable, on sam jak słup wysokiego napięcia, brzęczący, naelektryzowany. Wielka graba sięgnęła do kieszeni i zamachała mu telefonem przed twarzą.

– Nagrałem wczoraj twoje piruety – parsknął Rogal. – Serio, chciałem zejść i ci pomóc z zakupami, ale już sobie poradziliście.

– Obejrę później. Jaki tytuł?

– RYJEM W BŁOCIE, same duże litery – rzucił, dając się porwać dziewczynie.

– Dobrze, żadnych nazwisk.

Nie mógł być zły, w końcu sam sprowokował tę wymianę ciosów, wrzucając we wrześniu pierwszy filmik do sieci. Uwiecznił na nim Rogala wykonującego rzut wolny. Zwolnił tempo i podłożył hymn Ligi Mistrzów, nadając scenie majestatyczności, ale w momencie, gdy Rogal potknął się o własne nogi i runął jak długi, uderzając głową w stojącą futbolówkę, przywrócił normalne tempo akcji i wybił na pierwszy plan spazmatyczny rechot chłopaków z klasy. Nawet pan Magnuski nie mógł do końca zachować powagi i szukał czegoś po kieszeniach, przygryzając wargi. Ledwie trącona piłka przetoczyła się pomiędzy powalonymi śmiechem graczami, tuż obok Kudłatego, który zamiast bronić, oparł się o słupek, próbując złapać powietrze, i wturlała się do bramki. W ten sposób Rogal zdobył najbardziej spektakularnego i nieprawdopodobnego gola w historii szkoły, a może nawet i świata. „Ronaldo składa się do strzału” obejrzało do tej pory już czterdzieści pięć tysięcy osób, pod filmem pojawiła się setka komentarzy. Przesyłało go sobie w linkach i rozmawiano o nim na przerwach przez całą jesień i pół zimy. Dziś być może role się odwróciły, myślał, próbując sobie przypomnieć, czy wstając z błota, otarł twarz rękawem, czy szedł do klatki usmarowany

tym podwórkowym guanem niczym człowiek pierwotny. Taki widok na pewno pomógłby nabić licznik wyświetleń.

Dzwonek wyrwał go z zamyślenia.

– Jeszcze matma i wolne – westchnął Bednar, ciężko podnosząc się z krzesła. – Ma ktoś pożyczycy cyrkiel?

– Kup se w końcu. – Kudłaty miał już od dawna dosyć prowadzenia wypożyczalni szkolnego sprzętu, ale i tak sięgnął po piórnik. – Maciejka, idziesz?

– Taaa, zaraz będę – zbył ich, odwracając wzrok w stronę okna. Na zewnątrz ostatnie kałuże znikają z chodników w majowym słońcu. Wokół jeden po drugim milkły głosy, zamykały się drzwi.

Począł, aż szkolne korytarze opustoszeją, zarzucił plecak na ramię i ruszył prosto do domu.

* * *

Za każdym razem, gdy zaczynał biec, znikał. Dwa monitory ustawione obok siebie zalewały pokój falami niebieskiego światła. Na ich tle wycięty z tej jasności czarny kontur chłopca ze słuchawkami na uszach gadał do siebie, stukał w klawiaturę, ścisnął mysz spoczną dłonią. Niektórzy mogliby dać się nabrać, że naprawdę tu jest. W rzeczywistości nie przerwałby gry, nawet gdyby tornado oderwało od jego bloku frontową ścianę i uniosło ją wysoko ponad dachami miasta. Nie poczułby trzęsienia ziemi i nie zanotował eksplozji bomby atomowej – ojciec wykazywał się coraz większą kreatywnością w swoich porównaniach, ale kto by tam chciał go słuchać. On był daleko, po drugiej stronie ekranu.

Za każdym razem, gdy zaczynał biec, znikał, a razem z nim znikał czas. Długie godziny przed komputerem przypływał

bólem pleców i podkrążonymi oczyma. Coraz częściej zastawał go siny świt, a ćwierkanie ptaków na gałęzi przed oknem przywoływało go do porządku po kolejnym maratonie. To już ostatni raz, obiecywał, ziewając przeciągle. Po nim zwykle następowało jeszcze jedno podejście – to od niechcenia, w którym zwykle szło mu najlepiej. I dopiero po nim gasły ekrany, a on związał się w kłębek pod kołdrą, próbując zasnąć z głową wciąż pełną migoczących obrazów. Ale gdy ktoś pytał o to całe jego granie, odpowiadał zgodnie z prawdą – gry nudziły go okrutnie. Dlatego znalazł lepszy sposób, by czerpać z nich radość. Psuł je. Był jak dziecko, które rozdiera na strzępy zabawkę, by dowiedzieć się, co jest w środku. Godzinami rozkładał wirtualne światy, element po elemencie, i przyglądał się im z każdej strony, a gdy przestawały kryć przed nim jakiegokolwiek tajemnice, składał je z powrotem do kupy i rozpoczynał swój pokaz.

Przenikał przez ściany i pokonywał najtrudniejszych przeciwników jednym ciosem. Znajdował w kodzie wszystkie błędy, które umknęły programistom i całej armii testerów, po czym wykorzystywał je, by zyskiwać kolejne sekundy. Nie dla niego były dialogi i poboczne wątki. On miał tylko jeden cel – jak najszybciej zobaczyć napisy końcowe. Trzydzieści godzin zabawy w „Dishonored 2” skrócił do dwóch. Później do godziny. Wreszcie do niespełna dwudziestu dwóch minut. Swoje rozgrywki transmitował na żywo, bo przy publiczności biegało mu się lepiej. Był bardziej skupiony, gdy wiedział, że ktoś tam w świecie obserwuje każdy jego ruch. Stukał w klawiaturę z gracją doświadczonego pianisty i komentował swoje zmagania płynnym angielskim na poziomie, którego nigdy nie zaprezentował podczas lekcji. W szkole potrafił jedynie wpatrywać się w czubki swoich butów, czekając na koniec wstydu, tu fruwał po niebie. Przystawał być Maćkiem z II e, stawał się ParanoidKid_49 i nikogo już nie

obchodziły jego pały z polskiego. W zeszłym tygodniu dziesięć tysięcy osób widziało, jak zabijał wiedźmę wypuszczoną na pamięć strzałą, ustanawiając nowy rekord świata. Gdy stoper się zatrzymał, publiczność oszalała. Lewy monitor zalały gratulacje, wykrzykniki i memy. Na tę okoliczność miał przygotowaną mowę. Długi monolog o tym, że droga jest ważniejsza od celu, dlatego nie żałuje żadnej z tysiąca godzin, które poświęcił na rozpracowanie tej gry, i coś tam jeszcze o systemie edukacji, który zabija indywidualność. Ostatecznie emocje wzięły górę i nie powiedział nic. Osunął się bez życia na oparcie i zamknął oczy, czując się tak, jakby ktoś mu nalał benzyny pod powieki.

Dziś biegł znowu. Po trzech nieudanych podejściach czuł, że wreszcie złapał właściwy rytm. Kończył siódmy epizod z trzydziestosekundową przewagą nad swoim rekordem, ale przed sobą miał jeszcze przedostatni, najtrudniejszy poziom, w którym przeciwnicy pojawiali się w losowych miejscach mapy. To tu zawsze tracił najwięcej czasu, próbując odgadnąć, gdzie ukrył się jego cel. Wybrał bezpieczną drogę. Zeskoczył z dachu na balkon i skręcił w kierunku komnaty księcia. Sforsował drzwi i strzelił, nawet nie przymierzając.

– Dziś jest mój szczęśliwy dzień! – wykrzyknął, widząc na ekranie potwierdzenie zabójstwa. Nowy rekord zaświtał na horyzoncie, wystarczyło tylko trzymać się planu.

Sekundę później oba monitory zgasły. Jeszcze przez chwilę przyglądał się swojemu odbiciu majaczącemu w czarnych lustrach, kliknął dwa razy myszą, stuknął palcem w klawiaturę, po czym zerwał się z krzesła jak oparzony i podbiegł do drzwi.

– Tato, znów nie ma prądu... – Urwał w pół słowa, widząc ojca opartego o skrzynkę z bezpiecznikami. Przetarł oczy, by pozbyć się z nich mgły. Nic się nie zmieniło. Tata dalej tam stał z dłońmi skrzyżowanymi na piersi. Korki były wyłączone.

– Miałeś posprzątać w pokoju. W zeszłym miesiącu – odezwał się ojciec.

– Miałeś dać mi spokój – rzucił, niewiele myśląc. – Przepraszam – zreflektowałam się praktycznie od razu. – Chciałem dokończyć grę, byłem już tak blisko...

– Maciek, chcesz wiedzieć, jak to jest grać w dorosłe życie? – zapytał tata. – Ja ci opowiem. Wyobraź sobie, że zaschło ci w gardle. Idziesz po wodę do kuchni i widzisz, że na blacie stoi pusta butelka. Chcesz ją wyrzucić, ale kosz jest pełen. Do tego skończyły się worki. Więc bierzesz śmieci i lecisz z nimi na dół, myśląc sobie, że skoczysz jeszcze do sklepu po jakieś drobne zakupy, skoro i tak już wyszedłeś z domu. Wsiadasz do samochodu i okazuje się, że w baku jest rezerwa. No to jedziesz na stację, w korku, a później do supermarketu, gdzie nigdy nie ma wolnych miejsc parkingowych. Bierzesz, co trzeba, z półek i ustawiasz się na końcu kolejki, która oczywiście porusza się najwolniej ze wszystkich. Dwadzieścia minut później, gdy już wreszcie docierasz do kasy kończy się rolka, terminal ma awarię albo nie wiem, kasjerka dostaje wylewu i pada trupem, a ty stoisz tam i przypominasz sobie, że wciąż chce ci się pić. I tak codziennie.

– Wiem – odpowiedział, choć nie mógł o tym nic wiedzieć. Po prostu chciał mieć tę rozmowę jak najszybciej z głowy. Nie wysłuchiwać po raz kolejny, jak ciężko jest wychowywać dziecko w pojedynkę, ani o tym, co ojciec robił, gdy był w jego wieku.

– Zdajesz sobie sprawę jak, ciężko jest wychowywać dziecko w pojedynkę? Wiesz, co ja robiłem w twoim wieku?

Z otwartej szafki wypadły mu na głowę pudła i kije od szczotek. Ojciec mógł opowiadać godzinami historie z młodości. Dziś przygotował tę o wędrowaniu do szkoły przez zasy w dziurawych butach. Gdy tylko do gniazdek wrócił

prąd, zagłuszył kazanie szumem odkurzacza. Wyciągał kłęby kurzu i włosów spod biurka, wyobrażając sobie tatę walczącego wręcz z niedźwiedziami. Przedzierającego się przez dzicz niczym DiCaprio w *Zjawie*, by omówić trzecią część *Dziadów*. Kiedyś to były czasy, teraz to nie ma czasów.

Po trzech kwadransach, gdy jego pokój przestał przypominać wysypisko, opadł zdyszany na fotel i rozpoczął transmisję. Widzów powoli przybywało, ale wiedział, że tego wieczora nie przebije nawet marnych dwóch tysięcy. Przegapił najlepszy moment, wszyscy rozeszli się po konkurencyjnych kanałach albo znaleźli sobie coś innego do roboty. Mimo wszystko i tak poczuł, że musi się wytłumaczyć.

– Sorry za tę przerwę, ale tata się wkurzył i wyłączył mi prąd – powiedział, przelatując wysoko ponad głowami osłupiałych wrogów.

Nie przejmuj się, dzieciaku, z rodzicami tak już jest, napisał ktoś na czacie i wcisnął enter. Dzieciak się nie przejmował. Tylko biegł. Dopiero gdy chwilę później spojrzął kątem oka na lewy monitor, serce podeszło mu do gardła, a sterowana przez niego postać zachwiała się na gzymsie i spadła daleko w dół.

* * *

– Chłopaki, mam poważny problem – powiedział im następnego dnia, gdy stali ściśnięci we trójkę pod małym zadaniem, na tyłach szkolnej sali gimnastycznej, chowając się przed falami porannej ulewy chłostającej ulice.

Kałuże wrzały, pokrywały się bąblami, które oznaczają, że już nigdy nie przestanie padać, wiatr zawracał chmury papierosowego dymu z powrotem w ich twarze. Cała ta niewygodna, żeby Bednar mógł dokończyć swojego szluga, codzienny

rytuał, który pielęgnował od wczesnego gimnazjum. Znali się naprawdę już kawał czasu.

– Znowu dostałeś szlaban na kompa – zgadywał Kudłaty, zagryzając kanapkę. – Ze starymi to już tak jest. Komputery to zło, telefony też zło, ale cieszą się, jak nawigacja pomaga objechać korek, a zakupy lądują w koszyku bez ruszania dupy z fotela. Gdyby nie ta cała technologia, dalej praliby w rzece i czcili słońce – mówił z wciąż pełną buzią.

– Ktoś przelał mi wczoraj dwadzieścia tysięcy dolarów – wystrzelił.

Na świecie zrobiło się cicho. Nawet ulewa na moment odpuściła.

– Jezu, to... to... w pytę kasy. – Bednar nawet nie próbował udawać, że zna aktualny kurs dolara.

– Super, tylko że nie mogę jej wypłacić z PayPala, bo nie mam konta w banku i nie jestem pełnoletni.

– Przelej tacie, co to za problem?

Popatrzył na nich spod kaptura.

– Was chyba pogięło. Przecież od razu pomyślałby, że pokazywałem siusiaka na kamerkach albo inne tego typu głupoty.

– A skąd w ogóle masz ten hajs? Pokazywałeś? – dopytywał Kudłaty.

– Dostałem od wieloryba.

– To ktoś od nas ze szkoły?

– Nie, geniuszu. Wieloryby to tacy goście, którzy przelewają innym kasę bez powodu. Odwiedzają kanały transmitujące na żywo i robią własny show. Tak dla zabawy albo dla sławy. Przeważnie dlatego, że po prostu mogą. To synowie szejków albo internetowi celebryci z Ameryki. Serio, nie słyszeliście o wielorybach? Co wy, wypełzliście dopiero spod kamienia? – denerwował się.

Bednar wzruszył ramionami i splunął do kałuży.

– To kup sobie coś w internecie albo poczekaj do osiemnastki – rzucił, wysysając z filtra ostatnią chmurę dymu. – Już niedługo.

– Potrzebuję kasy teraz.

– Bo?

– Agnieszka jest w ciąży, mam zamiar wychować to dziecko na ludzi – powiedział, sam nie wiedząc dlaczego, i czym prędzej dodał: – Żartuję.

Ale słowa zawisły na długo w powietrzu, jak niska szara chmura, z której nie przestawało padać. Od roku robił wszystko, by wygonić ją z głowy. Bez powodzenia, zwłaszcza gdy codziennie wpadali na siebie w szkole.

– Wyluzuj. – Bednar przerwał wreszcie uwierającą ciszę. – Znam typa, który może ci pomóc. Zadzwońię do niego wieczorem.

Pet zgasł w kałuży. Pomarańczowa łupina unosiła się na powierzchni wściekłego oceanu jeszcze długo po tym, jak trójka zakapturzonych chłopców zniknęła za rogiem szkoły.

* * *

W domu odrobił wszystkie lekcje, a później usiadł obok taty na kanapie. Wsuwał spaghetti i upačkany sosem opowiadał, że w szkole po staremu, obiecywał, że wyciągnie się z tego polaka, nie zrobi mu wstydu. Po kolacji ojciec zmywał, on wycierał. Później ułożyli książki i płyty na półce. Razem kaszleli od kurzu. Słuchali Faith No More z winyli, bo cisza w ich domu była wyjątkowo głośna, ziębiła, dobrze było ją zagłuszać. Przez cały wieczór bił się z myślami, czekał na dogodny moment, próbował ubrać w słowa to, co go

uwierało, na czym nie mógł już dłużej siedzieć. W końcu nie powiedział nic.

W pokoju odpalił komputer. Wpisał tytuł filmu, o którym mówił mu Rogal, i zobaczył siebie padającego twarzą w błoto. Nie jakoś spektakularnie. Zwyczajna, uczciwa gleba na mokrym. Do tego sfilmowana ziemniakiem, z daleka i przez szybę. Kliknął w okienko z komentarzem, wpisał: widziałem lepsze piruety, a później skasował wszystkie słowa i zamknął YouTube'a. Sprawdził konto PayPal – dwadzieścia tysięcy dolarów wciąż tam było, jak sen na jawie. Odpalił listę rekordów i zamarł. ParanoidKid_49 spadł na drugie miejsce. Ktoś o nicku Sequoia urwał ponad pół minuty z jego wyśrubowanego czasu. Od razu kliknął w link i obejrzał cały bieg. A później obejrzał go jeszcze raz, zatrzymując film i przewijając klatka po klatce, żeby prześledzić wszystkie nowe triki.

– Sprytne, sprytne – powtarzał z uznaniem.

A teraz patrz, jak ja zrobię to lepiej, kolego – napisał i wysłał wiadomość prywatną, dodając na końcu uśmiech z przymrudzonym okiem. Nie widział nic złego w zdrowej rywalizacji.

Uwierzę, jak zobaczę – odpisał ktoś z drugiego końca świata, też z uśmiechem. – A poza tym nie jestem twoim kolegą. Jestem dziewczyną.

Wyprostował się w fotelu, jakby poczuł, że nie wypada tak leżeć rozwalonym, rozkraczonym z resztkami chipsów na spodniach, i jedną ręką w gaciach. Przez głowę przebiegły mu wizje kolorowe i obcisłe jak plażowe bikini. Pomyślał o tym, że dawno nie wychodził do ludzi, że może faktycznie powinien od czasu do czasu przyjrzeć się temu światu z bliska. Tylko że on nie umiał się po nim poruszać, nie znał skrótów. Jedyne tu, przed klawiaturą, wiedział, gdzie ma nacisnąć, żeby przejść na kolejny poziom.

Uwierzę, jak zobaczę – napisał. Sześćdziesiąt sekund później na jednym z jego ekranów wyświetliło się zdjęcie dziewczyny. Miała słodki uśmiech, trzymała w dłoni kartkę z napisem: Coś dla ciebie, dzieciaku z paranoją, i siedziała na wózku inwalidzkim.

Zakłuło go w boku, jakby ktoś mu wepchnął tam kawałek szkła. Zerwał się z krzesła, zrobił rundę po pokoju, od biurka do ściany, od drzwi do okna. Na zewnątrz noc przykryła osiedle czarnym prześcieradłem. Światła latarni rozlewały się po mokrym asfalcie kolorowymi strugami. Miał ochotę wyłączyć komputer i już nigdy go nie uruchamiać. Ostatni raz tak się wystraszył w gimnazjum, kiedy młodszy brat Jagi omal nie pozbawił go życia, objijając go twardymi pięściami niczym worek treningowy. Bez powodu. Teraz czuł się podobnie. Miał ochotę posprzątać w pokoju, nauczyć się obcego języka i zacząć zwiedzać świat. Cokolwiek, byle nie musieć o tym myśleć. Zgasił komputer i położył się do łóżka. Długo leżał z rękoma założonymi za głowę i wyobrażał sobie, jak to jest nigdy nie móc wstać. Poczuł wypełniającą go ciepłą falę wdzięczności za to, że może być normalny, a później beształ się w myślach, bo wiedział, że sam ją swoim szufladkowaniem właśnie upośledził. A może to ona była szczęśliwa, a on nienormalny?

Wstał z łóżka i włączył komputer. Długo wpatrywał się w zdjęcie, zauważył wszystkie szczegóły, kolczyki, fioletowe pasemka, tatuaż drzewa na przedramieniu, długopis, którym napisała jego ksywę na kartce rzucony na biurko pomiędzy książki i kubki, słońce, to samo, które uciekło z jego nieba, przebijające się teraz przez zasłony w jej oknie, pomiędzy którymi, wciśnięty, stał wąski kawałek miasta wyrwanego z kontekstu. Pisał i kasował. Pisał i kasował, a po drugiej stronie

pojawiła się i znikła chmurka z trzema kropkami. Wreszcie huknął pięścią w klawiaturę i djsafdkgshvb poszło w świat.

Sequoia – napisał natychmiast, żeby wymazać tę bzdurę – dlaczego tak się nazywasz?

Bo przypominam drzewo – odpowiedziała po chwili. – Nie mogę się nigdzie ruszyć. Ale jestem bardzo twarda.

* * *

Wnętrze cinquecento śmierdziało mozzarellą. Ciasna puszka skrzypiała i podskakiwała na nierównościach, a przez zaporowane szyby nie było zbyt wiele widać. On siedział z przodu. Nie żeby jakoś specjalnie nalegał, samo tak wyszło. Bardzo szybko zrozumiał, że popełnił błąd życia. Bednar i Kudłaty latali po tylnej kanapie jak łachy w bębnie pralki, zamieniali się miejscami na każdym zakręcie, ale to on podróżował, trzymając w dłoniach sześć kartonów gorącej pizzy, która parzyła go w uda, i czuł się jak w pierwszym wagonie rozpędanego rollercoastera. Wciskał nogą nieistniejący hamulec i zmuszał się, żeby nie krzyknąć.

– Z nastolatkami daj sobie spokój, chłopie – mówił Supełek, grzebiąc przy radiu, obmacując kieszenie w poszukiwaniu fajek, sięgając do schowka po ogień, przecierając rękawem szybę, kręcąc korbą, by uchylić okno, sprawdzając adres dostawy w telefonie, robiąc wszystko, czego nie powinno się robić za kierownicą. – Te młode siksy mają kompletnie nawalone w baniach. Im się wydaje, że faceci to powinni na białym koniu galopować w rozpiętej koszuli i z kwiatkiem za uchem, rąbać mieczem drewno do kominka, że życie składa się ze spacerów przy zachodzie słońca na plaży i kąpeli w mleku i płatkach róż. Tylko że później trzeba domyc tę wannę – wykladał swoją

filozofię, pędząc cieniasem na złamanie karku. – Ale to do nich dociera dopiero gdzieś po trzydziestce. Albo po trzydziestu nieudanych związkach. Ja ci mówię, młody, ty się laskami w swoim wieku przestań interesować. One ci każą chodzić na rękach. Później jest prościej. Wystarczy codziennie brać prysznic. O, to chyba tu.

Auto stanęło dęba. Stos kartonów wyleciał mu z rąk i zatrzymał się na desce rozdzielczej.

– Podaj mi hawajską i cztery sery – poprosił Supełek, szturchając go w ramię. – Jak wrócę, przegadamy temat.

Drzwi huknęły. Odczekał trzy sekundy i odwrócił się w kierunku kolegów.

– Ty opowiadałeś mi coś o mnie? – zapytał Bednara.

– Nic. No, wiesz, musiałem powiedzieć, coś ty za jeden, dać jakiś pretekst.

– I na pewno nie wspominałeś o Agnieszce?

Bednar wzruszył ramionami, ale w taki sposób, że mogło to oznaczać cokolwiek.

– Powiedziałeś mi, ile mam kasy?

– Tak jak ustalaliśmy, dziesięć tysiaków.

– Dobrze.

Po drugiej stronie ulicy Supełek przeskakiwał ponad kałużami z rozpostartymi dłońmi. Przypominał zakapturzonego stracha na wróble, dopalony pet w jego ustach dawno zgaś.

– Ty jesteś pewien tego koleśia? – zapytał.

– Wyluzuj. Znamy się z osiedla.

Później zaparkowali pod wiaduktem przy rzece. Może miejscówka leżała na trasie kolejnej dostawy, a może Supełek chciał, żeby było jak na filmach. Ciężkie krople spadające z metalowych rusztowań, miasto na drugim brzegu, skąpane w szarości, i oni we czwórkę, przewieszeni przez balustradę,

w odstępach, jak nuty na pięciolinii wygrywające ledwie tłącą się melodię; rozmawiający, jakby się nie znali. Ustalili szczegóły. Kasa dziś przelewem na konto, jutro odbiór gotówki. Pięć procent prowizji dla Supelka.

– Najszybciej zarobione dwa tysiąki w życiu – śmiał się, ale nie robił tego ani złośliwie, ani z wdzięcznością.

Podali sobie rękę. Zdezelowane cinquecento ze świecącym logo pizzerii na dachu zniknęło w kłębach niebieskiego dymu.

* * *

Wieczorem po raz pierwszy usłyszał jej głos. Po akcencie obstawiał Kalifornię, okazało się, że mieszka w Kanadzie, gdzieś na przedmieściach Vancouver. Był kiepski z akcentów, ale ona jeszcze gorsza, bo standardowo wzięła go za Ruska.

Czy wy tam na gorze myślicie, że wszystko na wschód od Niemiec to Rosja? – pytał bez złości.

A co jest na wschód od Niemiec? Tam już chyba tylko lasy i niedźwiedzie. Europa jest wielkości naszego supermarketu! – śmiała się. Chciała wiedzieć, czy ukradł już dzisiaj jakieś samochody. Czy zjadł swoje pierogi. Jak to się stało, że w jego domu jest prąd i internet. Pewnie jesteś synem jakiegoś polityka – zgadywała. – Znasz manifest komunistyczny na pamięć?

Odpowiedział, że syrop klonowy musiał uderzyć jej do głowy. Polecił, żeby poszła do lekarza, skoro ma za darmo. Ona przeprosiła go dwadzieścia siedem razy pod rząd. Przyrzekła, że za karę sprawi sobie lanie kijem od hokeja.

Później pokazała mu nowy skrót w siódmym poziomie. Wychodził przez ścianę poza kontury świata i teleportował się w ciemną otchłań, ginąc raz za razem, aż wreszcie nauczył się trafiać we właściwe miejsce. Wiatr skrzypnął oknem, razem

z szumem kół sunących po mokrej ulicy do pokoju wpadło nocne powietrze, gęste od zgubionych w nim myśli. Powiedział jej o Agnieszce i o tym, że od roku nie wychodził z domu. Ona opowiedziała mu o nartach, skarpie, niekończącym się spadaniu w przepaść, o tej krótkiej chwili, gdy wydawało jej się, że jeśli zamacha rękoma, będzie w stanie pofrunąć, ale tylko obróciło ją w locie i huknęła plecami w skały. Przyznał, że jest mu przykro, i wcale nie dlatego, że tak wypada mówić. Nie widział tego, ale czuł wyraźnie, że uśmiechnęła się ciepło.

Gramy takimi kartami, jakie dostaliśmy.

Na łączach zapadła cisza. Długo słyhać było tylko palce opadające na klawiaturę, kliknięcia i ćwierkanie ptaków z drugiego końca Ziemi.

Zabrzmiałaś zupełnie jak mój tata – powiedział jej, zanim się rozłączył.

Zaczął biec. Szybciej niż kiedykolwiek, śledzony przez tysiące par oczu. Dziś nie rozmawiał z nikim. Nie zastanawiał się, czy przyplyną wieloryby. Nie patrzył na stoper. Gdy dotarł wreszcie przed oblicze wiedzmy, miał całą minutę przewagi nad rekordem Sequoi. Wycelował strzałę i się zawahał. Gniew ścisnął go za krtań. Był zły na siebie, bo znów się nad nią litował jak jakiś lamus. A ona nie potrzebowała litości. Więc strzelił, ruszył do przodu i dał jej cel do pobicia. Tak jak należało to zrobić.

* * *

Pierwszego dnia, gdy Supełek powiedział mu, że kasa jeszcze nie dotarła, nie przejął się. Drugiego, gdy ten nie odebrał od niego szesnastu połączeń, pomyślał, że może jest w robocie, przy piątku na pewno miał dużo zleceń. Na wszelki wypadek

przejrzał portale w poszukiwaniu doniesień o cinquecencie wyłowionym z rzeki, dostawcy pizzy rozsmarowanym po jezdni jak sos na placku. Trzeciego dnia obudził się z gorzkim poczuciem przegranej w ustach. Coś w środku spalało jego wnętrzości na popiół, wpychało do głowy okopcone obrazy. Usiadł z ojcem przy stole. Jedli śniadanie i rozmawiali, ale on nie usłyszał żadnego słowa, nawet tych, które sam wypowiadał. Ocknął się dopiero w autobusie, w połowie drogi do Bednara. Za szybą bujały się ulice, a nad nimi słońce. On był ubrany w grubą bluzę, krople potu płynęły słonymi strugami po jego skroniach. Spotkali się przy sklepie i ruszyli pomiędzy bloki. Supelek nie odebrał domofonu. Nie zareagował na walenie do drzwi. Abonent poza zasięgiem sieci, po sygnale zostaw wiadomość. Siedzieli na ławce przez długie godziny, pisząc scenariusze pełne bójek z efektami specjalnymi, nakręcając sobie sprężyny, aż trzeszczały. Gdy wreszcie usłyszeli pierdzący tłumik cinquecento wybrzmiewający fałszywą nutą ponad sobotnim spokojem, mieli zbyt zdrętwiałe nogi, by wstać.

– Kasa może doszła, a może nie doszła. Jak możesz mi coś udowodnić, to leć prosto na policję, chłopaku. Jak nie, to wypad spod mojego okna, bo sam na pały zadzwonię.

Drzwi od klatki huknęły o framugę i to był koniec misternie zaplanowanej konfrontacji. Dostrzegli swoje odbicia w szybie. Dwa półprzezroczyste cienie, paznokcie obgryzione po łokcie i źrenice, w których rozpychał się strach.

– Sorry – wymamrotał Bednar. – Skąd ja mogłem wiedzieć. Gość mieszka tu, odkąd pamiętam. Zawsze był spoko. Pożyczał kasę parę razy. Ale to były drobne, co ja będę go ścigał za dwie dychy czy pięć. Dobrze jest mieć plecy u starszych. Wiesz, jak jest u nas na blokach.

– Ja tego tak nie zostawię – zarzekął się.

Wrócili pod sklep. Kupili browary i ruszyli nad rzekę. Bednar odpałał peta od peta, zaciągał się nim po brzegi płuc. Siwe chmury płynęły wolno nad taflą czarnej wody. Chłód powoli wpełzał do miasta od wschodu, z miejsca, w którym błękit naciągnął atramentem. Rok wcześniej i sto metrów dalej zrobili ognisko, skakali przez nie, drąc się wniebogłosy, bo po czterech piwach na głowę czuli się żywi jak nigdy dotąd. Z bezprzewodowego głośnika leciało Twenty One Pilots, gdy on całował Agnieszkę, muskając palcami jej udo. Tak to możesz głaskać psa, powiedziała mu wreszcie, ugryzła w usta i przysunęła mocniej do siebie. Poprowadziła jak w tańcu – z ziemi do gwiazd. Taki był odurzony tym uniesieniem, że zanim odnalazł gacie, wymyślił jeszcze dwadzieścia równie miałych metafor na to ich bzykanie w krzakach. Zapisał je wszystkie w pamiętniku, który prowadził później przez miesiąc, siedemnaście dni i dwadzieścia dwie godziny. Mało jadł, prawie wcale nie spał, odliczał sekundy do kolejnego spotkania, obrócił wszystkich kumpli przeciwko sobie i nie żałował niczego. Wreszcie, na przerwie pomiędzy matmą a WOS-em, dowiedział się, że zgasło. Zapomniała o nim po tygodniu i zaczęła kręcić z Rogalem. On o niej jakoś przedwczoraj.

– No, a pamiętasz, jak Wituś i Kudłaty wzięli Julkę i wrzucili ją do rzeki, a później zrobiło im się głupio, więc zamówili dla niej taksówkę. Typ przyjechał i nie chciał jej zabrać, tak się z niej łało. Ale i tak zabrał. – Bednarowi szybko kończyły się tematy zastępcze, więc ratował się przed ciszą, recytując sentencje z dupy. – Ale wiesz, Maciejka, ta szklanka jest do połowy pełna, bo wciąż została ci dycha – przekonywał go. – Szczęście w nieszczęściu. Łatwo przyszło, łatwo poszło. Nic na to nie poradzisz.

Wreszcie zamilkł, podciągnął kolana, oparł na nich głowę, bo zaczęła mu ciążyć po dwóch browcach wychylonych na szybko, i długo patrzył na rzekę.

– Nie! – Głos rozległ się nagle, dobiegł gdzieś z jego wnętrza i zabrzmiał stanowczo jak nigdy. – Zawsze jest jakieś wyjście. Nie ma systemów pozbawionych błędów ani rekordów, których nie można pobić. Trzeba tylko znaleźć sposób – powiedział, podając Bednarowi telefon, do którego od dłuższej chwili coś wklepywał.

– Co to jest? – Ten przewinął firmową stronę, którą ktoś zapomniał zaprojektować.

– Mówiłem ci już, że w internecie można znaleźć wszystko?

– Skąd ty znasz takie adresy?

Wzruszył ramionami.

– Ostatnio rzadko wychodzę z domu.

* * *

Czarny lexus zaparkował pod blokiem. Był z gatunku tych wydłużonych, napompowanych, w których siedzi się jak na tronie, ogląda wszystko z góry i bez dźwięku. To, co z niego wysiadło, też było napompowane. Długo obserwował, jak przyjezdni omiatają wzrokiem opustoszałe, niedzielne osiedle, szukają punktu zaczepienia. Wreszcie przełknął ślinę, szturchnął Bednara w ramię i poszli. Do dwóch mężczyzn w obcisłych koszulkach, które ledwie otaczały ich karki i bicepsy, dołączył trzeci, chudy jak patyk, ale miał coś takiego w oczach, że wydawał się z nich wszystkich najstraszniejszy. Śmierć w marynarce z czachą zamiast głowy i z oczami wilka, który dawno nie jadł. Może jakby zobaczyli go najpierw, zdrefiliby, uznali, że to jednak zły pomysł. Ale byli już zbyt blisko, by zawrócić.

– Dzień dobry – powiedział, starając się o jak najgrubszy ton głosu.

Trójka typów spojrzała w dół, żeby zobaczyć, co ich ciągnie za nogawkę.

– Pan... – Najszerszy z nich sięgnął po telefon i zawiesił głos, by skonsultować się z ekranem. – Tezejusz Opilski?

– Tak – odparł ponownie, znów barytonem.

– Dzień dobry, miło wreszcie spotkać się twarzą w twarz – oznajmił typ, podając mu rękę. – Rozumiem, że pański debitor znajduje się obecnie w lokalu i będziemy mogli go odwiedzić w celu przeprowadzenia mediacji?

– Tak – potwierdził, podążając za ich spojrzeniami w kierunku bloku. – Nie widzieliśmy, żeby wychodził z domu.

W oknie na drugim piętrze drgnęła firanka.

– Wybornie, zatem nie traćmy czasu.

Weszli bez dzwonienia, bo akurat trafili na sąsiada schodzącego ze śmieciami. Klatkę schodową wypełniły dudniące uderzenia podeszew o stopnie. Jedno delikatne puknięcie w niemalowane wystarczyło, by zamek szczęknął, a drzwi otworzyły się na oścież. Stojący w progu Supelek podniósł wzrok, ocenił sytuację i nagle przestał być wielkim, skomplikowanym marynarskim węzłem na linii okrętowej. Zmalał, stał się jeszcze ciaśniej zaplątany, aż zupełnie zniknął. Oni przeszli po nim i władowali się do środka. Cała ta czerń i masa szczelnie wypełniła ciasny przedpokój.

– Zna pan cel naszej wizyty? – zapytał najszerszy.

– Oczywiście. Ale zanim przejdziemy do rzeczy, może panowie się czegoś napiją? Mam...

– Nie. – Chudy urąbał konwersację jak łeb toporem.

Kilka sekund ciszy, które po tym „nie” nastąpiło, musiało być dla Supełka przeżyciem z gatunku transcendentálnych,

bo oto na ich oczach stawał się nowym człowiekiem, przepoczwarzał się. Jak motyl wykluwający się z kokonu postanowił odrzucić stare ułomności, zaniechać postrzegania siebie jedynie w kategoriach zwykłego rozwoziciela pizzy, któremu determinizm klasowy rozpiął życie po ostatni rozdział. Teraz sięgał wyżej, widział dalej, poza siebie i swoje ograniczenia. Chciał do gwiazd. Mimika jego twarzy, okraszona ciężkim oddechem, wyrażała ból istnienia miliona podobnych mu chłopaków z blokowisk, którzy upatrzyli swoją szansę na łatwą kasę w drodze na skrót i popełnili ten sam błąd. Ach, jak on się przed nimi biczował, nie hamował niczego, dolne powieki, niczym ostatni bastion, wciąż ratujący świat przed powodzią łez, powoli poddawały się wzbierającemu wewnątrz ciśnieniu. To była jego wina, nikogo innego, ale czy wychowanie, negatywne wzorce w otoczeniu, presja społeczna i zafałszowany obraz świata podsuwany przez mass media nie mogły być traktowane jako okoliczności łagodzące?

– O, kotek – odezwał się ten, który dotąd nie powiedział ani jednego słowa, po czym zanurkował w dół i wziął na ręce małą, ciepłą kulkę futra. – Kocham kotki.

Supełek złapał się ściany, by nie upaść.

– Chcielibyśmy, żeby podjechał pan z nami do bankomatu i uregulował zobowiązania wobec pana Tezejusza.

– Nie ma takiej potrzeby. – Zamachał rękoma, jakby naprowadzał jumbo jeta na pas. – Mam już wszystko przygotowane. Proszę dać mi sekundę.

Rzucił się do pokoju i nie wychodził z niego długo. Drzwiczki szafek trzaskały, a szuflady, wyrwane żywcem z komód, lądowały bez ceregieli na parkiecie. Wreszcie Supełek wyłonił się z powrotem zza drzwi, dzierżąc plik banknotów, dokładnie trzydzieści siedem tysięcy siedemset pięćdziesiąt

złotych, większość wyplacona w wyprasowanych, szeleszczących nowością pięćsetkach, które niezwłocznie przekazał na ręce właściciela.

– Zgadza się? – zapytał głos spod drzwi.

Natychmiast zabrał się do liczenia, sztywny papier nie poddawał się palcom. Był zdziwiony, że tyle kasy mieści się w tak niewielkiej przestrzeni. W dłoniach trzymał jeden zbitek przewiązany gumką recepturką niewiele większy niż książka, ważący o wiele mniej od niej. Ludzie zarabiają tyle w rok.

– Zgadza się – odpowiedział wreszcie, a gdzieś na Ziemię spadł meteoryt.

Wyszli od razu – z kasą w kieszeni i kotem na rękach. Przemaszerowali przez parking bez słowa i zatrzymali się przy lexusie. Odliczył ustalone dwadzieścia pięć procent opłaty manipulacyjnej i przekazał gotówkę.

– Interesy z panami to czysta przyjemność – odezwał się najszerszy. – Gdyby zaszła potrzeba kolejnych mediacji, polecamy się, wystarczy napisać maila. Od niedawna mamy też program lojalnościowy. Jakby chcieli panowie częściej korzystać z naszych usług, to przewidzieliśmy rabaty dla stałych klientów.

– Super! – wypalił Bednar, któremu od dobrych dziesięciu minut nerwowy uśmiech nie zniknął z twarzy.

– No i gdyby były jakieś problemy z obsłużonymi dłużnikami – dodał koks, celując palcem prosto w okno Supełka – to zawsze przychylnie rozpatrujemy prośby o dalsze wsparcie.

Skinęli głowami. Podali sobie dłonie. Kotek wylądował na skórzanym fotelu obok nowego właściciela, a drzwi trzasnęły miękko i z należytym prestiżem. Lexus potoczył się wzdłuż drogi osiedlowej. Dopiero gdy auto włączyło się do ruchu i zniknęło na wylotówce, twarz Bednara odzyskała kolory.

- Stary, to były prawdziwe gangusy – wyszeptał.
- No co ty. Normalna firma windykacyjna.
- Nie no, gangusy. – Bednar nie dawał się przekonać.

Nabrał powietrza w płuca i krzyknął do Maćka, ale bardziej do zamkniętych okien:

- Ja mam nadzieję, że wszyscy to widzieli!

* * *

Wewnątrz pachniało skórą, chemikaliami i benzyną, której zapach szczególnie lubił. Kojarzył mu się z dzieciństwem na wsi, dziadkiem wymieniającym świecę w motorowerze, spokojniejszym, analogowym życiem w kokonie ciszy. Złapał w dłoń obręcz kierownicy, podniósł fotel, żeby widzieć lepiej świat przed długą, srebrną maską. Przekręcił kluczyk w pozycję zapłonu. Na desce rozdzielczej mignęły kolorowe lampki, z nawiewów dmuchnęło powietrzem. Momentalnie oblał go zimny pot. Próbował przypomnieć sobie, co po czym szło. Wczoraj obejrzał chyba z pięćdziesiąt filmów na YouTube, a dalej nie był pewien. Pamiętał o światłach, pasach, lusterkach i hamulcu. O sprzęgle i skrzyni biegów już nie. Silnik zazgrzytał, a autem szarpnęło do przodu, tak gwałtownie, że prawie wyrznął nosem w kierownicę. Mężczyzna stojący obok pokręcił głową, ale się nie odezwał. Druga próba zakończyła się sukcesem. Potężny silnik ledwie mruczał, czekając na rozkazy. Wrzucił bieg i popuścił sprzęgła, jednocześnie dozując gaz, delikatnie, jakby sprawdzał stopą, czy lód się pod nim nie załamie. Nawet bez dnia stażu za kółkiem wiedział, że jak gaśnie przy ruszaniu, to największy obciach. Wreszcie wytoczył się na pustą wiejską drogę, pomachał do faceta stojącego w bramie i skręcił w kierunku miasta.

Spocony tyłek ślizgał mu się po fotelu. Przez pierwszy kilometr to auto prowadziło jego, czuł każdy kilogram z dwóch ton masy, którymi próbował nieumiejętnie sterować. Miał wrażenie, że galopuje na grzbiecie dzikiego zaślinionego potwora, który miota się, warczy, lada chwila go z siebie zrzuci i podepcze. Wreszcie przywykł do wszystkich tych szarpnięć i hałasów, zaczął mrugać, oddychać, przełknął resztki strachu, a bestia zaakceptowała jego obecność. Nitka asfaltu rzucona pomiędzy rzędy starych drzew stawała się coraz szersza, a on sunął przez tę sielską scenerię z tapety Windowsa, czując się jak wklejony do snu. Wyprzedził traktor i jechał kilometr z włączonym kierunkowskazem, taki był tym faktem zaaferowany. Pomyślał o muzyce. Specjalnie wypalona na tę okazję płyta czekała w plecaku rzuconym na fotel pasażera. Kalkulował, czy wydobędzie ją stamtąd po omacku, ile dłoni będzie musiał zaangażować w odpięcie suwaka. Wyobraził sobie auto turlające się przez pola, wyrzucające w powietrze pióropusze ziemi i szkła, usłyszał jęki giętej blachy.

Czym prędzej zjechał na pobocze. Po chwili kabinę wypełniły znajome dźwięki kawałka Twenty One Pilots z najnowszego albumu. Razem z Tylerem śpiewał, że potrafi lewitować, bo faktycznie czuł, jakby unosił się nad drogą coraz wyżej i wyżej. Gdy pół godziny później dotarł do miasta, już wszyscy z daleka mogli usłyszeć basy tłukące z głośników srebrnego bmw i dostrzec rozśpiewanego chłopca podskakującego na fotelu kierowcy, który wymachiwał dłonią przez otwarty szyberdach.

* * *

Gdy zadzwonił telefon, jego ojciec stał akurat na końcu długiej kolejki w Lidlu, przesuwając nogą po podłodze zgrzewkę wody,

zbliżając się w zwolnionym tempie do upragnionej kasy, i kalkulował. Szesnaście osób, średnio dwadzieścia jeden produktów w każdym koszyku, sekunda na przeciągnięcie każdego z nich przez czytnik dodatkowe trzydzieści na spakowanie i zapłacenie. Plus dwie minuty na zmianę rolki, bo znając jego szczęście, papier skończy się, jak tylko podejdzie do kasy. Wynik: nie wyjdzie stąd nigdy. Lepiej by zrobił, gdyby od razu chwycił jakąś prasę i ten przeceniony namiot, rozbił się obok lodówki z zimnymi napojami i przeczekał to wszystko. On nie potrafił gapić się w ekrany jak reszta, zasłaniać tego czasu głupotami. Z premedytacją skazywał się na trwanie w nim. Ale dzwoniący telefon odebrał.

– Dzień dobry, tu starszy aspirant Grzegorz Brudnik z komendy przy Toruńskiej. Dzwonię, ponieważ zatrzymaliśmy pańskiego syna, gdy prowadził bez wymaganych uprawnień auto, które zakupił na pańskie nazwisko. Znaleźliśmy przy nim także pięć tysięcy złotych w gotówce, które, jak sam twierdzi, pozyskał od walenia, w internecie.

Policjant mówił dalej. W tle dało się słyszeć głos Maćka, krzyżącego z całych sił:

– WIELORYBA!

* * *

Wieczorem, gdy już udało im się to wszystko jakoś odkręcić, usiedli przy jednym stole w kuchni i jedli w milczeniu kanapki posmarowane cienką warstwą nutelli wyskrobanej z dna słoika. Ojciec zakupów ostatecznie nie zrobił. Wyszedł, tak jak stał, i przez dobre pięć minut kręcił się po parkingu, szukając auta, mimo że wciąż wrastało w ziemię pod blokiem. Na komendę wpadł godzinę później. Zastał syna w poczekalni, gdy

ten pokazywał policjantom filmy na telefonie, mówił o jakichś biegach, skrótach i rekordach, oni kiwali głowami z uznaniem, a później prosili go, żeby jeszcze raz puścił im ten klip z reakcjami przypadkowych ludzi dostających setki tysięcy dolarów. Podobno wszystkie były przezabawne.

Zapłacili pięćset złotych mandatu za jazdę bez uprawnień i kolejne trzysta za holowanie auta. Kodeks przewidywał odroczenie możliwości robienia prawa jazdy o rok, a nawet wyrok w zawieszeniu, gdyby sprawa trafiła do sądu. Ostatecznie skończyło się na pouczeniu. Wyszli wolno z ciemnego komisarjatu prosto w majowe popołudnie. Ciepły wiatr nawiewał do miasta zapach nadchodzącego lata. Odebrali bmw z policyjnego parkingu i ruszyli z powrotem pod adres wskazany na umowie, by je oddać. Na miejscu okazało się, że sprzedawca część zapłaty zdołał już upłynnić. Siedział teraz rozwalony w zbutwiałym fotelu przed domem, ćmił peta i wodził palcem po sprężynie wystrzelonej z oparcia. O zwrocie samochodu nie chciał słyszeć. Słowa takie jak nieletni, policja, fałszerstwo, proceder, nieodpowiedzialność, zawiasy czy bardziej dosadne: szachraj, walek tudzież degrengolada nie robiły na nim żadnego wrażenia. Zadziałało inne, brzmiało „dopłać”. Chłop z trudem wstał z fotela, miotany turbulencjami podszedł do auta, przysiadł ciężko na długiej, rozgrzanej masce i powiedział:

– Panie, dobra, ja tę beemę przyjmę z powrotem, ale pomyśl pan, że dzieciak przyjechał tu stopem dwadzieścia kilometrów z gotówką w plecaku, żeby panu przyjemność sprawić. I jeszcze trzy tysie utargował. A mój syn to mi kiedyś w ryja dał, jak mu nie pozwoliłem grać w ten komputer.

Wracali w milczeniu. On ze wzrokiem wbitym w bezkresne pola przesuwające się za szybą, ojciec za kierownicą srebrnej

strzały. Ksenonowe lampy przecinały gęstniejący mrok, w od-
dali migwały zawieszona na niebie światła kominów, obrysy bez
treści. Przez całą drogę do domu tata nie spojrział na niego ani
razu. Dlatego nie zauważył uśmiechu, który mu posłał, gdy
zobaczył, jak ojciec ustawia fotel kierowcy w wygodniejszej
pozycji i mimo wszystko wgrywa ją do pamięci.

Po kolacji rozeszli się do pokojów. Usiadł przed kompu-
terem i długo krążył kursorem nad ikoną gry. Ostatecznie
sprawdził tylko listę rekordów. Sequoia znów była na pierw-
szym miejscu. Cienias – napisał jej i zamknął przeglądarkę, nie
czekając na odpowiedź. Pusta kartka gapiała się na niego z mo-
nitora, parzyła swoją bielą, a on odwracał wzrok do środka
i szukał tam odpowiednich słów, by ją czymś wypełnić.

Jestem najszybszy na świecie w „Dishonored 2” – napisał,
dodał: – Prawie. Po czym skasował wszystko jak leci. Kosa
wstawiłaby mu pałą do dziennika w czasie krótszym, niż on
robi pierwszy poziom. „Poznałem kogoś niezwykłego” rów-
nież zniknęło szybciej, niż się pojawiło. Czuł się źle na samą
myśl o handlowaniu historią swojej przyjaciółki, nawet jeśli
to oznaczałoby promocję do klasy maturalnej. „Bzykałem się
z Agnieszką w krzakach przy rzece i było nam świetnie, jest
naprawdę dobra w te klocki” – wklepał na próbę, żeby zo-
baczyć, co poczuje, powiększył czcionkę i rozciągnął na oba
monitory. Teraz jest idealnie, tak to zostawię, pomyślał, od-
jeżdżając do tyłu na krzesło, by przyjrzeć się swojemu dziełu
z perspektywy. Za jego plecami rozległo się pukanie do drzwi.
Ojciec wsunął głowę do pokoju i ujrzał syna rzucającego się
z impetem na klawiaturę.

– Maciek... – Zawiesił głos, spoglądając na ekrany. – Tak
sobie pomyślałem, że mógłbym kiedyś zobaczyć, o co chodzi
w tym twoim przechodzeniu gier na czas. Jeden z policjantów

mi powiedział, że ustanowiłeś rekord świata, że tysiące ludzi cię oglądają. Jestem z ciebie bardzo dumny.

– Dzięki – rzucił, kasując wszystkie litery – tylko wiesz co, może nie teraz. Muszę jeszcze zrobić jedną rzecz.

– Pewnie – odparł tata, przymykając drzwi. – Ale nie siedź długo, bo jutro masz szkołę.

Znów został tylko on, cisza i kartka. Wybiła północ. Z kuchni dobiegały odgłosy zderzających się ze sobą naczyń, szum wody wpadającej do zlewu, przytłumione trzaski płyty. Ojciec sprzątał po kolacji do rytmu koncertówki Queen, razem z Freddiem śpiewał szeptem ze sceny w swojej głowie. Później wyciągnął z szafy deskę i prasował koszulę na jutro, kabel uderzał o stelaż, gorące żelazko ślizgało się po materiale, nie pomijając żadnej fałdki. A jeszcze później rozległ się szelest przekładanych stron, stukanie kubka w stolik, wreszcie pstryknięcie nocnej lampki i jęk łóżka uginającego się pod jego ciężarem. Wszystkie odgłosy domu, znał je na pamięć, nie musiał tam być, by dokładnie wiedzieć, co się dzieje. Otworzył oczy, zawiesił dłonie nad klawiaturą, a palce same uderzyły w odpowiednie litery.

Mój tata jest bohaterem – napisał. – Gra w grę zwaną życiem na najtrudniejszym poziomie.